

Chłodny wieczór obleczony był wilgotne opary, snujące się nad wybrzeżem, barwione fioletową barwą zachodu. Gdyby ktokolwiek spośród ludzi Północy znalazł się wówczas na ulicach Qasyran, z pewnością zapamiętałby to widowisko do końca życia. Na zatapiające się powoli w szarościach wieczora ulice wyległy tłumy. Milczące, poważne, tylko szelest butów na bruku, pod którego wyślizganymi kamieniami kryły się zapomniane ruiny Vekowaru i kości jego obrońców... Człowiek z Północy zapewne by zwrócił na to uwagę w pamięci.

Tłumy podążały ku wybrzeżu.

Na wysokiej wysuniętej w głąb zatoki sztucznej skale stała ona. Tlilchuxtli, Czarna Orchidea. Biała żałobna suknia spływała po kamieniach jak strumień spienionej wody. Stała w milczeniu, nieruchomo. Ona. I jej naród. Było ich tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi na tym wybrzeżu. A ona wydawała się samotna.

Gdy zamglone słońce dotknęło linii wody, a leniwy opar nabrał lekko szkarłatnej barwy, uniosła ręce ku górze, ku Opiekunom, jak wezwanie, jak groźbę, jak rozpacz. Jej śpiew - niski, szarpiący serce lament - poniosł się echem po wodzie, dźwięcząc w tysiącach serc bezgłośnie płaczących na brzegu ludzi.

Po kilku wersach pieśni dołączyły się do niej kolejne głosy.

I kolejne.

I kolejne.

Aż wreszcie głęboki głos trąb zebrał je wszystkie w jeden potężny dźwięk, pieśń żałoby i rozpacz. Ci, którzy pamiętali, jak 36 lat temu wielka Neyestecae budziła swój lud pieśnią, załkali ze wzruszenia.

Gdyby był tu jakikolwiek człowiek z Północy, możliwe, że także poczułby wzruszenie – dopóki nie zrozumiałby powodu tego zgromadzenia.

Ale tu nie było nikogo z Północy.

Pieśń, którą zaintonowała, niosła się już bez niej, bez jej głosu, wielkim, zjednoczonym głosem jej rodaków, więc Tlilo zamilkła, a w myślach tętniły jej słowa "Dlaczego!? Czemuście nas opuścili?!", a gdy powoli opuściła ręce, były już zaciśnięte w pięści.

Żaden ze stojących nad brzegiem zatoki w Qasyran nie mógł słyszeć, ale wszyscy wiedzieli. Ta sama pieśń owego wieczora poniosła się doliną rzeki Reiny, z szanów na Tereste i wałów pod Kordą, stawiając na równe nogi Wergundów w ruinach Getheni i Laryjczyków na zdobytych umocnieniach Sveru. Przeraziła teralskich kmieci, gdy echo trąb popłynęło z granitowych murów Visnohory. Obudziła wartowników w obozowiskach Tryntu pod Bramendal. I zaalarmowała bezbronną niemal ludność południowej Wergundii, wyprzedzając wkraczające tam jednostki 4 korpusu Mityao.

Wszędzie, gdzie żołnierze Qasyran gotowali się do szturmu.

Tak lud Szamanki żegnał ostatniego z jej towarzyszy. Wszyscy, którzy pamiętali tamtą wojnę, wygraną pod jego genialnym dowództwem wiedzieli, że oto nadszedł koniec epoki. Ci, którzy nie pamiętali, czuli to wspólną myślą ludu Qa. Czuli żal. I wielki gniew.

Kiedyś, dawno - zwiadowca i myśliwy. Dopóki nie zetknął się oko w oko ze styryjską bezwzględnością.

Potem dobry żołnierz i towarzysz.

Przyjaciel.

Małżonek i ojciec.

Wytrwały. Odważny. Nigdy nie unikał niczego, na co narażał swoich żołnierzy.

Najlepszy taktyk, jakiego miało Qasyran.

Huei Seitiri z plemienia Tecuani poległ z ręki zamachowców i spoczął w mogile na Visnohorze.